ROK PIĄTY.

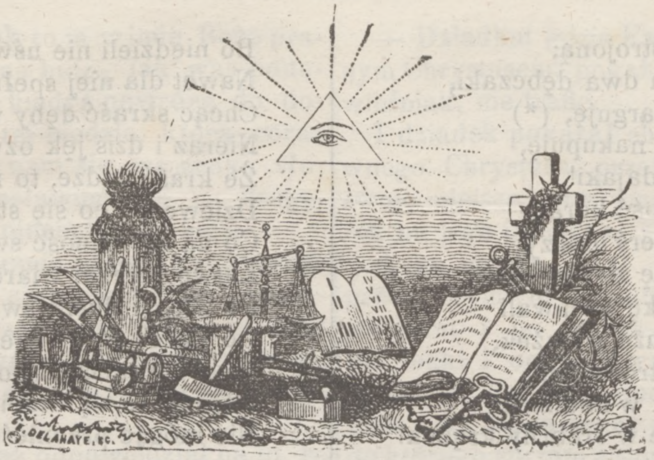
—

№ 41.

WARSZAWA

d. 25 września (7 paźd.)

1860.



REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr. 1527.

NIEDZIELA.

19ta po Świątkach.

„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Błogosławieni miłosierni, bo Pan Bóg nad nimi będzie miłosierny. (*Czytania Bractwa Miłosierdzia na każdą Niedzielę roku przez X. P. Skargę*).

Kara w lesie.

Wokół las dębowy,
Gdy go wicher skłóci,
Żałosnemi słowy
Śmierć nam Antka nuci.

(Nad Pilicą w Krakowskiem.)

—

Wezmę starą kamizelę,
Przypnę siekierę do pasa,
Pójdę sobie dziś do lasa,
Nie dbam o to, że w niedzielę!
Rosną dęby w pańskim lesie,
Sosny, jodły wokół rosną;
Gdy w nim wzejdzie słońce wiosną,
Las do człeka aż śmieje się.
Po co pracą łamać głowę,
Choć potrzeba na kęs chleba,
Choć mej Zośce na strój trzeba?...
Pójdę, zetnę dęby zdrowe;
Wszakże co rok las wyrasta,
Bez dwóch dębów lasem będzie.
Gdy nad ziemią noc osiędzie,
Zawiozę sprzedać do miasta,
Choć rozgłoszą, że nieładnie,
I choć wytkną prawdę szczerą,
Że Antek w święto z siekierą
Pański las jak złodziej kradnie,
To cóż począć w ciężkim znoju,
Gdy na człeka złe się skupi?
Zośka rzekła: który kupi
Gorset na pierś mi do stroju,
Na głowę wstęgi czerwone,
I korali ze sześć *biczy*, (*)
Ten me serce odziedziczy,
I ten weźmie mnie za żonę.
Zkąd chcesz, to bierz... ni przychowku,
Ni chcą człeka wziąć za najem,
Ni fornalem, ni ratajem,
Straszna bieda jak w przednowku!
Zośka musi mą być żoną,
Boć ją kocham jak swe zdrowie,
Choć się i dwór o tem dowie,

(*) Bicz korali, to jest sznur.

Jutro będzie wystrojoną:
Gdy ja sprzedam dwa dębczaki,
Ze *sześć bitych* utarguję, (*)
Slicznych rzeczy nakupuję,
Dar będzie nieladajaki!
Gdy nawiesza dość korali,
Gorset krągłą pierś otoczy,
Wszystkich na się zwróci oczy,
Wieś i dwór Zośkę pochwali.
Kupię białych dużo wstążek,
Gdy warkocz ustroi niemi,
Będzie lśniła jak w noc ziemi
Błyszczy księżyc w srebrny krążek!

—

Myśl ta mu zwichrzyła głowę,
I nie tracąc dłużej czasu,
Do pańskiego biegnie lasu:
Dostrzegł dwa dębczaki zdrowe,
Spojrzy w górę, dotkną nieba,
Aż się do nich głośno śmieje;
To mi dęby! mam nadzieję
Kupić za nie, co jej trzeba.
Wzrokiem śledzi, grubość zmierza,
I czy jędrne wewnątrz, bada,
Jak je ścinać się układa:
Zwolna siekierą uderza,
Później coraz mocniej, żywiej,
Aż wirują drzazgi w górze.
Oczy Antka płonąc w chmurze,
W dęby coraz patrzą chciwiej;
Rąbie, rąbie .. ot w połowie
Już dąb jeden jest podcięty,
Antek w myśli nieugięty,
Bo mu Zośka ciągle w głowie;
Łoskot w lesie echo wtórzy,
Jakby grajka dźwięk na basie,
Przestał rąbać... w krótkim czasie,
Jakby rozgłos wielkiej burzy,
Tak podcięty dąb nań spada,
Antka na miazgę druzgoce,
Który ustami bełkoce:
Straszna kara... biada! biada!
Ledwie w tydzień odszukano
Zabitego Antka w lesie;
A gdy burza wściekła rwie się,
Nieraz w lesie jęk słyszano:
Wzrok go zwodnej Zośki znęcił,
Nazbyt w szale jej uwierzył,
A grom śmierci weń uderzył,
Bo niedzieli nie uświęcił.
Nawet dla niej spełnił zbrodnię,
Chcąc skraść dęby w cudzym lesie;
Nieraz i dziś jęk ozwie się,
Że kraść cudze, to niegodnie.
Dziewczę, co się stroić pragnie,
Co na skromność swą niepomne,
Łatwo sercem wiarołomne,
Ku złemu duszę swą nagnie.
I o Zośce różne wieści...
Snać się zachceń powstydziła:
Głoszą, że się utopiła,
Nie mogąc przenieść boleści.

(*) Bitemi zwano dawniej talary ośmio-złotowe.

Domek sprzedany.

(Zdarzenie prawdziwe.)

—

W szkółce elementarnej jednego z małych miasteczek kraju, odznaczał się wszystkiemi przymiotami pilnego ucznia, piętnastoletni Stanisław, syn niezamożnego mieszczanina. I ksiądz proboszcz opiekun szkółki, i nauczyciel przedstawiali Stasia uczącej się dziatwie jako wzór do naśladowania; a gdy po dwuletniem chodzeniu do szkółki, nauczył się już wszystkiego, czego się w niej nauczyć było można, nauczyciel wezwał ojca do siebie i oddał mu chłopaczka roztropnego, wyćwiczonego w zasadach wiary i moralności. Stasiek ucałował ręce pana profesora, zabrał do domu swoje książki, a gdy pomagając w gospodarce rodzicom, widział, że biedzie familii tym sposobem nic nie pomoże, począł rozmyślać, co ma z sobą zrobić; aż jakoś nagle jednej niedzieli powrócił do domu rad i wesół, a powrócił takim z plebanii, gdzie go proboszcz był zawezwał i coś długo z chłopczykiem rozmawiał.

— Moi drodzy i kochani, powiedział Stanisław, całując ręce rodzicom. . . dola nasza biedna i coraz to gorzej podupadamy, siostra już prawie dorasta, więc nowe przybędą kłopoty; a ja taki duży wyrostek siedzę wam na karku i śmieszę ludzi swojem niedołęztwem, i jakąś myślączką, gdy tu robić coś, nie zaś tylko myśleć potrzeba. Byłem u księdza proboszcza i radziłem się jego rozumu. Zacny ten człowiek taką mi pewną wskazał drogę, taką wlał w serce nadzieję, że już

widzę moi rodzice, jak to ja w imie Boże pracując, wyjdę kiedyś na ludzi, jak was podeprę w potrzebie i jak kiedyś powrócę do domu, aby was niedać tej biedzie, która coraz to dokuczliwiej daje nam się we znaki; słowem dajcie mi błogosławieństwo na drogę, bo pójdę po rozum i pieniądze do ludzi.

Stasiek jakoś rozumnie zdawał się przemawiać; to też ojciec za całą odpowiedź pocałował go w czoło i wyrzekł uroczystym głosem:

— Bóg niech czuwa nad tobą miły nam synu!... lecz co myślisz robić z sobą i gdzie wędrować do ludzi?

— Moi drodzy, Staś odpowiedział na to, co będę robił? Wyście ojcze służyli wojskowo, więc znacie duże miasta; wiecie, że tam ludu jak mrowia. Pracować będę, bo wyście mnie tego waszym przykładem nauczyli; z uczciwością się nie minę, bo mnie uczono religii, więc wiem, co dobre, a co złe: wierzę temu, że dobre prowadzi do dobrego a złe do złego. Dajcie mi tylko wasze błogosławieństwo.

* * *

O brzasku dnia sierpniowego, jedną z rogatek Pragskich wszedł do Warszawy pieszy młodziutki chłopaczek, o śmiałem wejrzeniu i miłej powierzchowności. Na twarzy widać było znużenie, bo podróżny kilkunastomilową drogę przebył pieszo ze swoim małym tłómoczkiem na plecach i kilkunastoma złotemi w kieszeni szaraczkowego surduta. Z podziwieniem poglądał na wszystko, co spotykał wokoło; miasto duże, jego ruch, gwar, kamienice, jakich nigdzie i nigdy nie widział, straszyły go nieledwie i nasuwały myśli, jakto dać sobie tu radę, jak trafić i gdzie trafić?

Z pomiędzy murów miasta Warszawy sterczały wieże i kopuły świątyń, a na nich krzyże zdawały się wyciągać ramiona ku wszystkim, co cierpią, szukają i ufają.

— Dziadku, wyrzekł Stanisław do żebraka siedzącego przy moście, dając mu jałmużnę, dziadku, zmówcie paciorek na moję intencyę i powiedźcie, gdzie się samemu można pomodlić w tym oto murowanym lesie?

— Niech cię Bóg błogosławi chłopieńku, paciorek zmówię i niebo go może wysłucha, a gdy się pytasz o drogę do kościoła, toć spójrz przed siebie na miasto... ot Bernardyni, Śty Krzyż, Augustyanie, Panna Marya, Fara ze swoim cudownym Chrystusem i...

— Dziadku! gdzie Fara ze swoim cudownym Chrystusem? pokażcie mi dobrze, bom ja wieśniak, nie trafię.

I dziadek pokazał chłopcu drogę do cudownego Chrystusa, przeżegnał go i wrócił na swoje miejsce, aby zmówić proszony paciorek na jego intencyę.

A za chwilę leżał krzyżem chłopczyna przed słynnym cudami ołtarzem, bił się w piersi i po skończeniu modłów taki jakiś lekki i ochoczy wyszedł z Bożego przybytku, że co tam obce miasto i obcy ludzie!... on szuka pracy pod wezwaniem Boga, do którego się tam najprzód wymodlił, i dziadka prosił o paciorek, a i rodzice gdzieś tam daleko może także w tej chwili się modlą. Więc Stasiek krokiem pewnym, choć potrącany na wszystkie strony, pomknął, sam nie wiedząc gdzie, w sam środek miasta.

Dzień był zimny, zimne mury kamienic i jeszcze zimniejsi ludzie, bo Stasiek błąkał się i błąkał aż przez kilka godzin, a tłumy spychały go ciągle i nikt nie zapytał, gdzie dąży, czego szuka, czy nie głodny, czy nie pragnący?

Stasiek uczuł głód i potrzebę gorącej strawy, więc co robić, pomyślał sobie... dalejże rozglądać się po szyldach. Na jednym z nich wyczytał „kawa gospodarska,“ wstąpił nieśmiało do gospody i zapytał przedewszystkiem o cenę, bo w kieszeni miał jedynie kilka złotych, więc bał się zbytecznego wydatku.

— Dziesięć groszy porcya kawalerze, odrzekła z uśmiechem gospodyni, i Stasiowi wskazano miejsce przy stole, a następnie podano specyał.

Rozejrzawszy się po stancyi, Stasio, spostrzegł jakiś zadrukowany papier na bufecie. Był to Kuryer Warszawski; chłopczyna z nieśmiałością wziął go do ręki, czytał tak sobie bez myśli. Lecz gdy doszedł do doniesień, znalazł pomiędzy niemi następujące wyrazy: „W handlu takim a takim, przy ulicy takiej a takiej, może być ulokowanym młody człowiek jako uczeń. Warunkiem jest, aby był z prowincyi, umiał czytać i pisać, jak również, aby był uczciwy i pracowity młodzieniec.“

Błoga myśl zajaśniała w duszy chłopięcia; wyszedł czemprędzej na ulicę i rozpytując co chwila o drogę, w kwandrans stanął przed dużą kamienicą na jednej z głównych ulic. Numer domu był ten sam, a nad drzwia-

mi wielkiego sklepu wyczytał nazwisko pomieszczone w Kuryerze. Staś ze drżeniem serca przeszedł jego progi, a pierwszą postacią, którą spostrzegł, był mężczyzna wysoki, chudy, wcale nieobiecującego wejrzenia.

— Co chcesz chłopaczku? wyrzekł napół opryskliwie, a pół łagodnie, wychylając się z za kupieckiego stołu.

Staś opowiedział w krótkich słowach cel swego przybycia. Kupiec kazał mu się zatrzymać chwil kilka, potem wezwał za sobą do mieszkania. A mieszkanie to szczególniej jakoś wyglądało; chociaż porządek i czystość patrzyły z każdego niemal sprzętu i kącika, porządek ten jednak i czystość świadczyły raczej o skromnej mierności, a nie o zamożnem położeniu kupca. Kupiec zmierzył od stóp do głów Stasia i długo nic nie mówił; chłopczyna więc stał przy drzwiach i milczał, czekając ostatecznego wyroku i chwili stanowiącej o jego losie.

Kupiec przerwał milczenie, rozpytał Stasia o wszystkie szczegóły jego życia i położenia, i jakkolwiek zdawał się słuchać odpowiedzi od niechcenia, Stasiek jednak poznał rodzaj zajęcia się sobą, bo łagodny wyraz twarzy kupca zajaśniał czasami promieniem ojcowskiej przychylności.

— Panie, mówił między innemi chłopczyna do swego przyszłego pryncypała, będę wiernym i pracowitym, bo za chlebem i pracą przyszedłem tak daleko, bo Pan Bóg dał mi zdrowe ręce, a biednych rodziców, którzy zdaleka na mnie patrzą i proszą Boga, aby strzegł mnie od wszystkiego złego i dał siły do pracy, która z czasem chléb mi dać może...

* * *

W kilka miesięcy po owem zdarzeniu, w tym samym pokoju, ten sam kupiec rozmawiał o interesach swego handlu z najstarszym pomocnikiem sklepowym.

— Interesa tedy panie Wincenty idą niezgorzej; mówisz o kwitnącym stanie kassy, to jeszcze lepiej; mówisz o coraz zaszczytniejszej reputacyi naszej firmy, to najlepiej! Ale panie Wincenty, gdy tak wszystko dobrze idzie, gdy ja obrastam w piórka i dźwigam się corocznie wyżej, toć i komuś coś się z tego należy. Nadchodzi gwiazdka, więc coś i tobie się panie Wincenty dostanie... ale powiedz mi, kto i jak zasługiwał ci się źle lub dobrze w sklepie? zacznijmy najprzód od starszych: Alexander naprzykład?

—Był, jest i będzie nygusem panie pryncypale, im bliżej do wyzwolin, tym większy z niego fanfaron; po kątach pali cygara, na głowie wylizany, do piwnicy bierze rękawiczki, zdaje mu się, że już subjekt, więc młodszymi posługuje się, jednem słowem, nicpotem.

— Wyzwolę go po świętach i wypędzę panie Wincenty; kiedy już u mnie złym być zaczyna, niechże się u innych rozumu uczy!... a Józefek?

— Józefek panie, póty dobry, póki go krótko trzymać; parę razy pasek był już w robocie, ale to przynajmniej pomaga. Zapomniałeś jeszcze panie pryncypale zapytać o najmłodszego w sklepie, co to kilka miesięcy temu, sam przyszedł niewiadomo zkąd i kazałeś mu zostać na próbę. Oj! panie trzeba go zostawić, bo to perła dla twego sklepu. Z początku jakoś niedźwiadkowato brał się do rzeczy: kto chciał wina, dał mu wódki, kto chciał pieprzu, dał mu cynamonu, ale gdym mu raz i drugi natarł dobrze uszu, chłopak się poprawił, i panie pryncypale, prawą rękę mam teraz z niego. Swoje zrobi, za jaśnie pana Alexandra zrobi, Józefkowi pomoże, i gdy inni szukają miejsca i chwili, aby popróżnować, Stasiek ciągle z robotą się kręci; a gdy już zrobił, to patrzy mi w oczy i widocznie nastręcza się, aby mu nowe, choćby najcięższe wskazać zajęcie. Zdarzy się, trzeba gdzie posłać po odbiór pieniędzy: Alexander pójdzie i zginie, Józefek pójdzie i nic nie zrobi, a posłać Stasia, wróci natychmiast, jeżeli nie z pieniędzmi, to z roztropnem sprawozdaniem. A nigdy nikogo nie zrazi, bo jest coś w tym chłopcu prawego i delikatnego, jest jakiś sposób odrębny wychodzenia nawet z dłużnikami. Doszedłem jednak panie, że jegomość Stasiek coś ma w sobie skrytego i właśnie chciałem bliżej z panem o tem pomówić. Rzecz się tak ma: Przez stróża dowiedziałem się, że zapoznał się już od 2ch miesięcy z pracującym u adwokata. Myśląc, czy to niejaki figiel, niejaki funcik cukru wyniesiony ze sklepu, podszedłem obudwu rozmawiających w sieni. Staś oddał jakieś papiery przybyłemu, ten dał mu kilka złotych i inne znowu papiery i targowali się o zapłatę. Staś chciał 20 groszy za arkusz,

a tamten tylko dawał 15, i nie wiem, jak i co się dalej stało. Wiem tylko to, że Staś spracowany przez kilka dni następnych, po całych znów nocach siadywał w swojej stancyjce i ciągle przepisywał, zapewne te papiery, co mu tamten dał. Nie ma wątpliwości, że chłopczynie idzie o to, aby sobie coś zarobić; jakaś wrodzona uczciwość odpycha go od sklepowego grosza, bo nawet wystawiałem go na próby, w niczem się jednak nie sprzeniewierzył, i woli niedosypiać nocy, a szukać godziwego sposobu zarobkowania.

-- Mnie to także zastanawia panie Wincenty, powiedział na to kupiec i radbym dojść prawdy.

Niedługo na to czekali, bo Wincentemu raz wypadkiem wpadł w ręce list pisany do Staśka, który był taki:

Miły nam i dobry synu!

„Dwadzieścia złotych, ktoreśmy przez Matyska od ciebie wraz z listem odebrali, spadły nam jak manna z nieba w chwili najprzykrzejszej potrzeby, bo Magdusia nam zachorowała i nie było z czem posłać do apteki. Ale dziewczątko nie lekarstwami zostało uzdrowione, lecz wieścią o tobie miły nam synu, coś poszedł w świat tylko z naszem błogosławieństwem i coś pomiędzmy ludźmi tak umiał dać sobie radę, że ci na imieniny w upominku owe pieniądze ofiarowano. Pracuj i bądź uczciwym, a Pan Bóg ci dopomoże.“

Panie Wincenty, wyrzekł kupiec po przeczytaniu powyższego listu, ani słowa o tem, a swoją drogą zwracaj uwagę na chłopca i próbuj go w najrozmaitszy sposób; mnie to jest potrzebnem... bądź zdrów!

II.

W dzień Nowego Roku właściciel sklepu przyzwał kolejno uczniów handlowych i każdemu dawał jakiś upominek. Na końcu przywołano Stasia. Nim przybył chłopczyna, kupiec toczył wewnętrzną walkę i układał twarz do surowości. Stasio wszedł, w rękę go pocałował i stanął zdaleka przy ścianie, czekając także jakiego upominku. Lecz kupiec gniewnie do niego przystąpił, powiedział, że wcale nie jest z niego kontent i że nie tylko nic mu w upominku nie daje, ale nadto przykazuje surowo lepsze wzięcie się do pracy, bo w przeciwnym razie oddali go ze sklepu.

Żywe kolory wystąpiły na twarz biednego chłopczyny; sfukany, rzewnie się wypłakał za drzwiami i poszedł do swojej stancyjki, a w stancyjce upadł przed świętym obrazem i modlił się tak gorąco i szczerze, że pewno wysłuchano jego modlitwy. Bo gdy chłopczyna wstał z klęczek, jakaś dziwna pogoda zajaśniała mu na twarzy i wyrzekł z postanowieniem: Boże, dopomóż mi być lepszym i daj siły do pracy.

A właściciel sklepu? Właściciel sklepu, gdy wyszedł chłopczyna, chodził dużemi krokami po pokoju i obcierał z czoła pot, bo go rozmowa, którą odbył, dużo widać kosztowała. Potem otworzył do kantorka, wyjął dwudziesto pięcio rublowy papierek, opieczętował go w kopercie i zaadresował do rodziców Stasia, załączając kilka wyrazów.

* * *

Gdy tak jakoś dziwnie się wypadki wiązały, Stasiek z całym zapałem garnął się do pracy. Starszy jednak subjekt, pan Wincenty ciągle się doń za najmniejszą bagatelę przyczepiał, strofował, łajał, zrzędził, a Stasiek ponękać się nie dał. Zawsze potulny, usłużny, pracowity, jeżeli zapłakał, to zapłakał cichaczem, jeżeli się czasami i obruszył, to bez widocznego znaku niezadowolenia; rzekłbyś, chłopczyna poślubował cierpieć i pracować w imie nadziei w lepsze czasy, które kiedyś przyjść przecież muszą. Kupiec sam zajęty zewnętrznemi interesami handlu, rzadko zaglądał do sklepu, a jeżeli i zajrzał czasami, to zdawał się na chłopczynę nie zwracać uwagi i tylko z panem Wincentym coś szeptał na uboczu, a może skutkiem tych szeptań było coraz to większe obarczanie pracą chłopca. Przeszło tak prawie bez zmiany dwa lata czasu. Staś miał już siedmnasty rok życia, ręce wypracowane, w głowie ciągłą myśl o rodzicach i swoim losie, a w sercu żal do kupca i pana Wincentego za takie obchodzenie się, na jakie zdawało mu się że nie zasługiwał. Już go prawie i opuszczała odwaga; to też razu pewnego, gdy spracowany do najwyższego stopnia, zyskał jak zwkyle i usłyszał kilka przykrych wyrazów od starszego subjekta, postanowił użalić się przed kupcem samym i w tym celu poszedł do mieszkania pryn-

cypała. Nie zastał go w domu, ale zastał jego siostrzenicę, młode czternastoletnie dziewczę. Dziewczę, czyto zaciekawione frasobliwą miną chłopczyny, czy też ujęte jego szczerym wyrazem twarzy, gdy miał już wychodzić z pokoju, zatrzymało go przez chwilę, wypytując z zajęciem, czego chce od stryja? Stasiek wyspowiadał panience wszystkie swoje żale i troski, a ośmielony uprzejmym wyrazem twarzy, nie skrywał nic przed nią i zdawało się, znajdował jakąś niewysłowioną ulgę, rozmawiając z panną Józefą, bo takie było jej imie, i jakoś wcale mu się nie śpieszyło wracać do sklepu. Gdy skończył, dzieweczka z żalem popatrzyła mu w oczy i powiedziała między innemi, że źle się wybrał, idąc z użaleniem do kupca, bo stryj jej jest człowiekiem bardzo surowego usposobienia i nie da ucha temu, co młodszy na starszego powie.

— Ale panienko, ja nie chcę bynajmniej występować ze skargą na pana Wincentego, ja tylko mam zamiar stryjowi panienki powiedzieć, że gdy się staram jak mogę, gdy pracuję co siły starczą, a gdy jednak to wszystko nie zadawalnia nikogo, więc niech mnie lepiej usunie od siebie, to sobie pójdę gdzie indziej szukać pracy i chleba. Ale proszę panienki, mówił dalej Stasio, patrząc w oczy dziewczęciu, ja posłucham, co mi panienka radzi, bo kiedy mnie tak chętnie słucha i inaczej jak inni traktuje, to chyba mi i dobrze życzy, więc będę cierpiał dalej; czy panienka tak radzi?

Dzieweczka nic na to nie odpowiedziała, ale łezką nabiegło jej oko, a tymczasem Stasiek wyszedł także rozrzewniony i długo łaził po korytarzu, patrząc na drzwi pokoju kupca i myśląc o tej, co pierwsza zdawała się go pożałować i pierwszą przyjacielską udzieliła radę.

* * *

Przeszło znowu dwa lata czasu. Pan Wincenty siedział w pokoju kupca przy herbacie i rozmawiali o biegu interesów. A trzeba wiedzieć, że interesa te były ważne, bo pan Wincenty ostatecznie zdawał rachunki swemu pryncypałowi, u którego przebył lat dziesięć. Obecnie uzbierawszy nieco grosza i nadto odebrawszy kilkonastotysięczną spuściznę, na swoję już rękę sklep miał założyć. Rozstawali się przeto dwaj nasi znajomi w najlepszej zgodzie: kupiec umiał godnie ocenić pracę i uczciwość młodego przyjaciela, wsparł jego pierwszy krok znaczną gratyfikacyą, a obecnie w dalszym już ciągu rozmowy mówili oni, co następuje:

— Kochany panie pryncypale, bez wahania kierunek sklepu powierzyć możesz Stasiowi; wypróbowany on przez nas obudwu tak dobrze, że zdaje się, wiemy nieledwie, co myśli i jak myśli. Uczciwość, pracowitość i rzetelność cechowały dotąd wszystkie postępki tego chłopca. Blizko już pięć lat jest pod naszem okiem; przez ten czas jedynie z dobrej strony dał nam się poznać. Idzie tu tylko o rzecz, o której już kilka razy wspominałem panu pryncypałowi. Bo powtarzam panu, od dawnego już czasu chłopak jakoś się zmienił do niepoznania. Siedzi tylko po całych dniach, czy niebieski kapelusz p. Józefy nie przemknie się na ulicy, a gdy się przemknie, to długo przeprowadza go oczyma i...

— Zostaw rzecz tę mnie panie Wincenty, odparł na to kupiec z powagą, i o Stasiu tego dnia nie było już mowy.

A na drugi dzień wezwanym został do kupca; po godzinnej rozmowie, gdy wyszedł Stasio, widziano na jego twarzy uśmiech prawdziwego szczęścia, szczęścia takiego, jakiego określić niepodobna. Kupiec bowiem pierwszy raz pochwalił go w oczy, dał nadzieję rychłego wyzwolenia na subjekta i powiedział nawet, że kto wie, czy mu całego handlu w zarząd nie odda. Ku końcowi rozmowy pryncypał wezwał do pokoju siostrzenicę, szesnastoletnią panienkę, pocałował przy niej w czoło Stasia, dał mu pieniędzy na przystojne ubranie się i powiedział, że jakkolwiek dotąd niewyzwolony, ma jednak przychodzić do stołu kupca na obiady; a pannie Józefie polecił, aby wiedziała o tem i codzień jedno więcej przygotowała nakrycie. Stasio rzucił się do nóg kupcowi i tylko słyszano wyrazy: O! moi rodzice, o mój ojcze, matko, siostro, gdybyście wiedzieli... Potem Stasio poszedł do zwykłych zajęć w sklepie, a pan Wincenty także pierwszy raz nie złajał go za długie siedzenie, owszem przy innych uczniach podał mu rękę i powiedział:

—Odtąd dla mnie jesteś panem Stanisławem.

W kilka miesięcy po tem zdarzeniu, za stołem sklepowym w handlu nam znanym przeglądał rachunki tygodniowe pan Stanisław,

obecnie starszy subjekt na miejscu pana Wincentego. Starszy ów subjekt, dziwnie miał zadowoloną minę, z uśmiechem spoglądał na sznurowe książki, pokręcał mlecznego wąsa i chwilowo, a nawet nieco niecierpliwie, wyjmował z kieszeni zegarek, od którego złota dewizka ładnie odbijała na czarnej kamizelce. Nadchodziła bowiem pora obiadowa. W tej chwili wszedł bryftregier i wręczył list Stanisławowi. Adres był nieznaną ręką położony; pocztowa tylko pieczątka przekonywała, że jest z tego miasteczka, gdzie mieszkają rodzice pana Stanisława. P. Stanisław skwapliwie list otworzył, lecz w miarę odczytywania go, dziwna boleść pokrywała twarz młodego człowieka: widać toczył wewnętrzną jakąś walkę, bo usiadł nieruchomy za kantorkiem i zamyślił się głęboko. O czem i naczem, nateraz zamilczmy. Gdy dano znać do stołu i gdy Stanisław jak zwykle zajął przeznaczone sobie miejsce, smutek młodzieńca odbił się i na jego twarzy i w ruchach i w spojrzeniu. To też po obiedzie kupiec zainteresowany mocno, wziął na bok Stanisława i począł go wypytywać. Trwało to dosyć długo, Stanisław wypowiedział przyczynę swego zmartwienia, a była ona tego rodzaju: sekretarz czy pisarz magistratu, narzeczony już siostry Stanisława donosił mu o tem, że rodzice jego biedni podupadli, i jakiś Herszek za długi ostatni ich przytułek, domek lichy, chce sprzedać za bezcen przy braku konkurentów do kupna.

Gdy Stanisław list ten odczytał, kupiec długo z nim coś rozmawiał, potem słychać było liczenie pieniędzy, potem płacz radosny młodego człowieka, potem pożegnanie, po którem nastąpił wyjazd Stanisława na dni kilka z Warszawy.

* * *

A w miasteczku, gdzie rodzice Stanisława mieszkali, tego dnia właśnie ogłoszono licytację, która miała się odbyć za dni kilka. Przez te dni kilka po całych godzinach w mieszkaniu bogatego Herszka widziano starca, staruszkę, młode dziewczę i pisarza z magistratu, wypraszających się zmiłowania nad ich losem i cierpliwości do pewnego czasu. Żyd był nieporuszony; na wszystko odpowiadał: nie, a nie mogąc się pozbyć natrętów, zamknął im drzwi przed nosem, a na pisarza magistratu poszedł się użalać przed burmistrzem. Gdy dzień naznaczony nadszedł, pod strzechą rodziców Stasia był wielki płacz i smutek: stary ze zmartwienia aż zachorował, matka ledwie chodziła po izbie, a młoda ich córka razem z pisarzem magistratu, jak mogła pocieszała rodziców.

Do izby urzędowej, gdzie się odbywała licytacya, wszedł jakiś nieznajomy w długim płaszczu, z okularami na oczach i starannie od zimna zawiązaną twarzą. Nikt nie zwrócił uwagi na przybysza, on też usiadł w samym kącie izby i czekał, co dalej będzie. Nieznacznie uniósł okularów i powiódł wzrokiem po całem zebranem kołku, i aż zadrżał dziwnem uczuciem, gdy spojrzał na twarz rodziców i ich córki. Lecz przymusił się do pozornej obojętności i czekał w swoim kąciku, Licytacya się zaczęła.

Na satysfakcyę długu, o którym przed chwilą była mowa, ogłoszono, że sprzedaje się dom mieszczan L.... z ogrodem i t. d. za złp. 600 — kto da więcej?

— Sześćset pięć, podchwycił skwapliwie Herszek i przysunął się do stołu.

— Sześćset pięć złotych, kto da więcej? po raz pierwszy.

Właściciciele domu nieledwie zmartwieli, córka głośno łkać zaczęła; tymczasem pomiędzy mieszczanami obecnymi zrobił się szmer, kilku z nich pomówiło z sobą przez chwilę, jeden postąpił bliżej i powiedział, że sąsiedzi składają się na zł. 700, za które on swoim domem ręczy i takowe ofiaruje.

— Siedmset pięć, dorzucił na to zmieszany Herszek.

— Ośmset krzyknął mieszczanin i żydowi obie pokazał pięście.

— Ośmset pięć, zawołał Herszek.

Mieszczanie porozumieli się wzrokiem, kilka minut było przerwy, ofiarowano dziewięćset.

— Dziewięćset pięć drżący żyd wyjąkał.

Mieszczanin począł coś liczyć w myśli, znowu porozumiał się z sąsiadami i postąpił z widocznym wysiłkiem dziewięćset piędziesiąt.

— Tysiąc wybełkotał żyd.

Mieszczanie załamali ręce i odstąpili od licytacyi.

— Tysiąc złotych, kto da więcej? wołano dalej, po raz pierwszy, drugi, i...

— Tysiąc dwieście ozwał się nieznany głos z kąta.

Wszyscy wlepili wzrok podziwienia w obwiązaną postać mężczyzny.

— Kto pan jesteś? zapytał kierujący licytacyą.

Mężczyzna ów postąpił bliżej i wyrzekł, że jest sobie podróżnym i niema co lepszego z tysiącem złotych zrobić, które ma w kieszeni, więc kupuje dom i osiędzie w tem mieście.

— Tysiąc dwieście pięć, żyd mówił dalej z zapamiętałością.

— Tysiąc pięćset oświadczył spokojnie podróżny i pugilares, z którego na kilka tysięcy banknotów wyglądało, położył na stole.

Żydowi ponętnie stanął na oczach przyszły szynk w domu sprzedawanym na samym rynkowym rogu, więc postąpił na tysiąc sześćset.

— Dwa tysiące, z równą spokojnością powiedział podróżny.

Potem okulary zrzucił, płaszcz i chustkę z twarzy również zdjął, i okazało się, że owym nieznajomym szlachetnym, jest młody piękny dwudziestoletni rodzony syn tych, którym dom sprzedawali. Co się dalej działo, opisać niepodobna. Odprowadzono wszystkich do domu. Radość była w całem miasteczku, a za parę dni po wysłuchaniu dziękczynnej mszy świętej, wsiadł do dyliżansu pocztowego pan Stanisław i pomknął napwrót ku Warszawie.

Dodać tu wypada, iż Stanisław otrzymał rękę Józi, i dziś jest pierwszym zarządcą w handlu znanego nam kupca, szczęśliwy, jakich mało znajdziesz wśród ludzi!

Stanisław Lubomirski

Syn Sebastyana kasztelana Wojnickiego i Anny Branickiej, hrabia na Wiśniczu, wojewoda krakowski, powróciwszy z zagranicy, gdzie pobierał nauki, zaraz do obozu pośpieszył na harce z nieprzyjacielem kraju. W wojnie z turkami pod Chocimem r. 1621 po śmierci hetmana Chodkiewicza dowodził wojskami koronnemi i litewskiemi, gdzie nieprzyjaciela do zawarcia pokoju zmusił. W wojnie tej dał dowody nieustraszoności swojej, albowiem gdy puszkarże strwożeni dział na wałach odbiegli, Lubomirski zsiadłszy z konia, sam kilka wyrychtował, i odwagą swoją nieprzyjaciela poraził. Roku 1629 tatarów u Bursztyna zwalczył i do 2000 nieprzyjaciół ujął w niewolę. W nagrodę takich czynów wojennych został wojewodą ruskim, a potem wojewodą krakowskim. Dawano mu kasztelanię krakowską i buławę wielką, ale tych urzędów nie przyjął, również nie używał książęcego tytułu, od dwóch cesarzów Ferdynandów otrzymanego. Ostatnie lat dziesięć w wielkiej niemocy spędził, żaląc się, że w potrzebie wesprzeć kraju nie może; poświęcił się natomiast kształceniu synów swoich, stawianiu kościołów, porządkowaniu miast i zamków doń należących. Pan to był pobożny, szczodry, miłujący dobro publiczne. Podwoje jego dla gościa nie zamykały się, czem jednał sobie serca ziomków.

Zamek Wiśnicki, gdzie przebywał, napełniony był uczonymi i tłumem najpierwszéj w kraju młodzieży. Fundował dwadzieścia kościołów w dobrach swoich, między temi wzniósł wspaniałą świątynię i klasztor OO. Karmelitów w Wiśniczu, wypełniając ślub pod Chocimem uczyniony, także w Podoleńcu na Śpiżu dla edukacyi młodzi fundował księży Pijarów gdzie szkoły wraz z kollegium wzniósł dla nich i w dochody zaopatrzył. Zbudował też piękny zamek na Wiśniczu, Połończynie i Łańcucie; każdy był opatrzony w 80 dział, puszkarzów i rynsztunek, oraz żywność dla 400tu piechoty i 400tu beczek wina dla uraczenia braci szlachty. Wielkie bogactwa pan ten zostawił po sobie, samego stołowego srebra 3 tysiące grzywien wynoszącego. (*).

Łożąc na kościoły, klasztory i ubogich, zwykł był mawiać: „Miałem się przed tem nieźle, przecież mi zawsze nie stawało; ale jakem się począł dzielić z Bogiem fortuną moją, kościoły i klasztory fundować, sam nie wiem, jako mi Bóg wszystkiego przysparza.“

Żoną jego była Zofia córka Alexandra księcia Ostrogskiego wojewody Wołyńskiego; z tej miał dwie córki i trzech synów. Zmarł dnia 17 czerwca 1649 w Wiśniczu, (**) i tam w świątyni swéj fundacyi pochowany i uczczony nagrobkiem.

(*) Grzywna zawiera w sobie łutów 16, co czyni pół funta.

(**) Wiśnicz, Łańcut zamki w górach za Krakowem.

DODATEK.

Dodatek do Nr. 41 Czytelni Niedzielnej z r. 1860.

Wykład nauki ogrodniczej.

Nauka IVta.

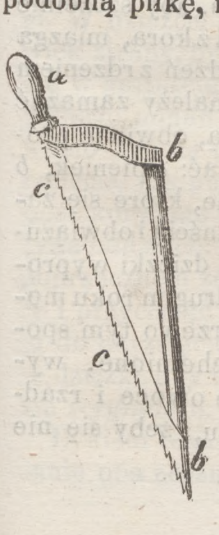
33. Podług poprzedniej nauki już wiemy, jak założyć szkołę drzew owocowych i w jakim celu; wiemy i umiemy zaprowadzać drzewa owocowe większe dla prędszego użytku; wiemy, że możemy uszlachetniać drzewa, które już mamy w ogrodzie; zatem na dzisiaj wypada nam nauka, jak, i w jaki sposób mamy uszlachetniać drzewa?

34. Do uszlachetniania drzew, czyli do zaprowadzenia dobrych gatunków na dziczkach czyli płonkach jest bardzo wiele sposobów; z tych, trzech jako najłatwiejszych, uczyć się będziemy, to jest *szczepienia, łączenia i oczkowania.* Każdy z tych sposobów jest dobry, każdy ma właściwe sobie użycie i wyuczenie dla chcących łatwe, które bardzo wam zalecam, jako koniecznie potrzebne.

35. Chcąc szczepić drzewa owocowe, trzeba się zaopatrzyć w następne narzędzia. Najprzód *nóż ogrodniczy*, który zwykle bywa o dwóch ostrząch, jedno większe, drugie mniejsze, i z kostką w tyle; nóż podobny w sklepach dostaniecie rs. 1 za sztukę. Nóż w rysunku, tak się objaśnia: *a* rękojeść, *b* ostrze większe, *c* ostrze małe, *d* kostka.



Drugie potrzebne narzędzie, *piłka ręczna*; podobną piłkę, nabywszy w sklepie żeleźce od piłki małéj stolarskiéj za kop. 45, każdy kowal wam dorobi, co wszystko razem wzięte, nie powinno 75 kop. kosztować. Piłka podobna takowego jest składu: *a* rękojeść drewniana na sztylu piłki osadzona, *bb* prętowanie żelazne, *c* piłka stolarska mniéj od cala szeroka; długość całéj piłki, łokcia nie dochodzi.



Trzecie *dłuto zwyczajne* do rozbijania pieńków, mały młotek żelazny, łyczko do owiązywania, papier lub płótno, maść nareszcie, któréj robienia łatwo się wyuczymy.

36. Do szczepienia brać można pieńki do dwóch cali grubości średniéj mające; można i cieńsze, byleby dziczka nie była cieńszą od zrazu, który w dziczkę szczepić mamy. Zrazy zaś biorą się z drzew owocowych, z gatunku, jaki mieć chcemy lub możemy; zrzynają się na to latorózgi (gałązki jedno-letnie), zrzynając je z gałęzi od strony południowéj. Zrazy powinny być grubości gęsiego pióra. Zraz brać można w marcu i kwietniu. Zerznąwszy zraz, zaraz związać w pęczek, grubsze końce oblepić gliną i zachować w chłodnem miejscu. Gdyby wam wypadło podobne zrazy przewozić zdaleka, przewoźcie takowe w wilgotnym mchu. Zrzynając zrazy, i na to uważać potrzeba, aby nie miały oczek kwiatowych tylko drzewne, co uważając, łatwo rozróżnić, gdyż kwiatowe są znacznie wieksze od drzewnych, jak to widzimy na rysunku. Na latorózdze *a* oczy są drzewne, z pojedyńczej gromadki listków złożone. Z latorózgi zaś *b* oczy z więcéj listków gromadnie ułożonych, są owocowe.



37. Maść ogrodnicza, którą trzeba do szczepienia przysposobić, najłatwiejsza dla was będzie następnym sposobem robiona:

Weź w równych częściach wosku, żywicy i sadła bez soli przesmażonego; to wszystko rozpuść w tyglu nad ogniem, a będzie maść, którą upakowawszy w słój szklany, trzymaj w chłodnem miejscu; gdyby zaschła, przetop ją powtórnie z dodaniem nieco więcéj sadła.

38. Samo szczepienie odbywa się w ten sposób:

1) Szczepić w czasie, gdy soki z wiosną zaczną w drzewach krążyć, to jest w maju i początkach czerwca, pestkowe wcześniéj jako prędzéj puszczające.

Dziczkę, jak mówiłem poprzednio, około dwóch cali średnicy mającą, lewą ręką przytrzymaj, a prawą przyrzynaj sześć cali ponad ziemią; zupełnie prosto przyrzynaj piłką, byleby ostróżnie, żeby kory nie zadrzeć. Jak doj-

dziesz piłką do kory, to wstrzymaj piłowanie, a dorznij ostrym nożem.

Młode, cienkie dziczki można zrzynać nieco pochyło, uważając, aby wyższa strona była od południa, niższa od północy. Nożem zagładź kosmatość od piłki zrobioną. Następnie połóż ostrze nożyka do połowy zerzniętego pieńka i pobij młotkiem drewnianym na cal głęboko, uważaj, aby ci się równo rozszczypało; co gdy nastąpi, załóż małym klinikiem drewnianym, następnie weź zraz z latorózgi, urznij go nie więcéj jak na pięć ócz, stronę zarzniętą w cieńszym końcu zasmaruj maścią, grubszy koniec cal powinien mieć niżéj oka i zerznij go klinowato do dołu; gdzie klinek zaczyna się, nieco go poderznij, aby osiadł równo. Rdzeń zrazu powinien być nienaruszony. Zraz tak przyspobiony zasadzić w rozłupanie tak, żeby grubsza część kory z korą pieńka, miazga z miazgą się schodziły, i klinik wyjm ostrożnie.

Złączenie zrazu z pieńkiem zasmaruj maścią, pieniek ściśnij łykiem i obwiąż papierem lub cienkiem płótnem, maścią zasmaruj; owiązywać trzeba starannie, żeby powietrze przystępu nie miało. Można zraz zaszczepiony od południa zasłonić papierem, a jak się przyjmie, zdjąć w dniu pochmurnym.



To jest cały sposób szczepienia, które dla lepszéj pamięci, daję wam w rysunku.

Fig. 1. *a* pieniek przyrznięty równo,
b rozłupanie do rozsadzania klinikiem,
c zraz,
d zerznięcie zrazu.



Fig. 2 przedstawia pieniek już zaszczepiony.
a pieniek,
b obwiązanie łyczkiem,
c zraz,
d miejsce obwinione płatkiem, lub papierem.

39. Podobnym sposobem można szczepić i drzewa w koronach już będące. Tę czynność najlepiéj robić z drabiny



z podstawami składanemi, aby opierając się, nie psuć drzewa. Podobna drabina jest zwyczajna, tylko dodaje się jéj składane na luźnych gwoździach drewnianych, nogi czyli podstawy: *a* drabina, *bb* nogi.

Drzewo, które chcesz szczepić, przyrznij, zostaw dwie lub trzy gałęzie dwucalowéj grubości, i szczep w każdą gałęź tak, jak w pieńku; prócz pola głównego daj pole i przewiąż każdą gałęź osobno, aby wiatr szczepienia nie zniszczył: *a* pieniek, *bbb* przyrznięte gałęzie; *ccc* zrazy zaszczepione, *dd* paliki do przywiązania zaszczepionych gałęzi.



40. Drugi sposób uszlachetniania drzew owocowych jest *łączenie.* Ta czynność odbywa się najlepiéj na młodocianych dziczkach. Łączenie pod pewnym względem jest lepszem od szczepienia, gdyż nierównie tym sposobem prędzéj owoców doczekać się można. Do łączenia dobiera się zrazów grubszych z gałęzi dwuletnich; odbywa się zaś tym sposobem:

Czas łączenia jak szczepienia, również z wiosny. Pieniek dziczki zrzyna się przy wierzchołku ukośnie i dobiera się zraz téj grubości co zerznięcie; również go się ścina, aby szczelnie przystawał do dziczki, aby kora z korą, miazga z miazgą, drzewo z drzewem, rdzeń z rdzeniem się połączył—należy zamazać spojenie maścią, obwinąć płótnem i obwiązać: *a* pieniek, *b* zraz, *c* spojenie, które się zasmarowywa maścią i obwiązuje. Z nasienia dziczki wyprowadzone, w drugim roku można łączyć. Drzewo tym sposobem uszlachetnione, wydaje najlepsze owoce i rzadko przy starannem utrzymaniu, żeby się nie przyjęło.



41. Trzeci sposób uszlachetniania drzew owocowych jest *oczkowanie.*

Z poprzedniéj nauki wiecie, co to są oka, że jedne oka są liściate czyli drzewne, drugie kwiatowe czyli owocowe.

Oczko drzewne z jednego drzewa na drugie przeniesione wydaje gałęź drzewną. Jest to może najlepszy i najdogodniejszy sposób, gdyż bez kaleczenia drzewa się odbywa. Pestkowe drzewa nawet udają się daleko lepiéj oczkowane niż szczepione, lub łączone, a oczkowanie przy pewnéj wprawie trudnem nie jest. Oczkowanie odbywa się od końca czerwca do połowy sierpnia. Drzewa mające się oczkować, powinny być zdrowe, nie grubsze jak cal i pełne soku. Jeżeli posucha, przed oczkowaniem na kilka dni suto podlać. Na kilka tygodni zaś przed oczkowaniem zdjąć wszystkie niepotrzebne gałązki.

Jakim gatunkiem chcesz oczkować, zdejm zraz z latorózgi mający z pięć ók zdrowych, wydatnych, brunatnych; oczkowanie odbywać zrana i przed wieczorem, w dzień chmurny a nie deszczowy. Zrazy trzymać w naczyniu z wodą, aby nie przyschły.

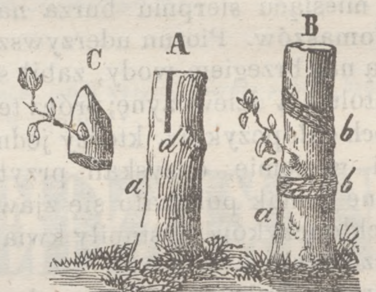
Nożykiem na zrazie pół cala ponad oczkiem zrobić narznięcie poprzeczne, potem zerznąć z boków ku sobie, aby o pół cala pod okiem się zeszły, kostką przy nożyku do okulizowania będącą z lekka oddzielić korę łącznie z oczkiem od drzewa, wziąć oczko dwoma palcami z ostróżnością, aby ani oczka, ani kory nie naruszyć. Jeżeli naprzeciw oka nie ma dziurki przeźroczystéj i części drzewne przy korze nie zostały, oko jest dobrem i zdatnem do użycia. Listek skrócić do połowy i wziąć między wargi. W dziczce, gdzie kora gładka, z którejkolwiek strony, byle nie od południa zrobić nacięcie w kształcie litery T od sześć cali do łokcia jednego ponad ziemią; nacięcie podłużne powinno być na pół okrągłości dziczki. Oba zerznięcia nie powinny być głębsze jak na grubość kory; nie naruszając drzewa, kostką nożyka oddzielić korę od drzewa z obu stron pod poprzecznem zerznięciem, oczko wsunąć z góry i przycisnąć do drzewa, aby dobrze przystało do narznięcia poprzecznego, przyłożyć korę dziczki, aby oczko z między tej kory dowolnie wyglądało.

Łykiem lekko owiązać na krzyż, aby owiązanie oba zerznięcia zakryło od wilgoci, wiatru i słońca; robotę wykonywać prędko, aby nie przysychała, a całe oczkowanie chronić na kilka dni od upału, obwiązawszy liściem.

Oczek można dla pewności robić kilka na jednej dziczce.

Po kilku dniach, jeżeli listek uschnie i odpadnie, a oko jest zdrowe, oczkowanie się przyjęło, a jeżeli inaczej, powtórzyć należy.

Oczkowanie w rysunku.



A) pieniek przysposobiony do oczkowania, *d* przerznięcie,

B) pieniek zaoczkowany, *b* zawiązanie, *c* oczko,

C) oczko zdjęte ze zraza.

Gałązki dolne odejmować na dziczne, górne ponad oczkowaniem zostawiać, po kilku tygodniach owiązanie zwalniać, aby się w korę nie wrzynało, z wiosną zaś zupełnie odrzucić; na wiosnę ponad oczkiem na dwa cale drzew przyrznąć i maścią zasmarować. Jeżeli kilka ók przyjętych, jedno puścić na drzewo, inne odrzucić.

—

Na tem zakończamy naukę o uszlachetnianiu drzew, w następnej nauce wyłożę wam, jakich i gdzie macie używać tych sposobów robienia, cośmy się dzisiaj uczyli, oraz o prowadzeniu drzew zrobionych w szkółce owocowej.

Uprzedzić was muszę, że jeszcze wiele wam zostaje do uczenia, abyście nie byli w błędzie, że jak potraficie szczepić, toście już naukę ogrodniczą skończyli. Wierzcie mi, żadna sztuka zrobić drzewko; ale sztuka utrzymać zrobione.

Różności.

— W mieście *Broku*, na granicy gubernii Płockiej i Augustowskiej otwartą została szkoła leśna.

— W lasach świerkowych gubernii Augustowskiej przed kilku laty zrządził znaczne szkody owad *Prządka mniszka* zwany; w tych czasach znowu pojawił się drugi znany pod nazwą *Kornik drukarz*, który również ślady zniszczenia po sobie zostawił.

— W miesiącu sierpniu burza nawiedziła miasto Tomaszów. Piorun uderzywszy w chatę stojącą nad brzegiem wody, zabił staruszkę i szesnastoletnią dziewczynę; prócz tego ogłuszył dwóch chłopczyków, którzy jednak zaraz zakopani w ziemię, odzyskali przytomność. Szczególne jednak pokazało się zjawisko, bo na ciele chłopczyków wystąpiły kwiaty w barwach tęczowych.

— Uprawa drzewek morwowych upowszechnia się dzięki Bogu. W Krakowie na plantacyach wycięto wiele topoli włoskich, dających mało liścia, a zasadzono w miejsce ich morwy, któremi zagajono brzeg cały Wisły. W Tarnowie w Galicyi za przykładem doktora Morawskiego burmistrza wzięto się do uprawy tego użytecznego drzewka. Rozsadził on około 300 sztuk drzewek. Podobnież wszystkie znaczniejsze miasta w Galicyi oświadczyły na wezwanie gotowość do zakładania lasków drzew morwowych, wyznaczając grunt na szkółki i pieniądze na zakupienie nasion lub drzewek morwowych. Gmina miasta *Lwowa* stolicy Galicyi, dała na to 8 morgów ziemi, odpowiedni fundusz, zamówiła ogrodnika najlepszego. Za przykładem stolicy poszły inne miasta, jako to: Tarnów, Drohobycz, Dolina, Żółkiew, Żywiec, Rohatyn, Busk, Złoczów, Przemyśl i Sambor. Oby za tym przykładem wielu poszło i u nas naśladowców, a cieszylibyśmy się w przyszłości obfitszemi wyrobami materyj z naszego jedwabiu!

— Podają w gazetach taki sposób na wyniszczenie liszek agrestowych: Zaraz po pojawieniu się liszek, trzeba liście agrestu świeżą terpentyną starannie wysmarować, tak, aby suchego miejsca nie zostało, na którem by liszka pomieścić się mogła; odór terpentyny działa zabijająco na liszki, które najdłużéj w godzinę po dokonanéj czynności z liści same opadną. Dlatego też dobrze jest podstawić pod krzak agrestowy szaflik lub podobne naczynie z wodą, w któreby liszki wpadały, a to dla zupełnego następnie ich wytępienia. Drugi, lecz mniej skuteczny sposób, jest kadzić krzewy agrestu dymem z proszku perskiego, a to przez ustawianie małych naczyń z węglami pod każdym krzewem i sypanie na rozrzarzone węgle proszku Perskiego. Dym ten działa również jak i terpentyna zabijająco na liszki, z tą tylko różnicą, że liszki przechodzą z powodu dymu w pewien stan odrętwienia, z którego jednakże po pewnym przeciągu czasu znów do życia powracają. Dobrzeby więc było liszki te zaraz po kadzeniu zbierać i niszczyć. Objaśnić tu jednak trzeba, że nie udowodniono jeszcze, czy roślina sama przez to nie ucierpi.

Od Redakcyi.

— Kassa Rzemieślniczo-pożyczkowa istniejąca przy Redakcyi Czytelni otrzymała w tych dniach nowy fundusz, a mianowicie:

Od P. Michała Ejdryngiewicza Rr. 5, od syna jego p. Władysława Ejdryngiewicza ucznia gimnazyum Realnego w Warszawie rs. 20. Oprócz tego p. Władysława Ejdryngiewicza złożył w Redakcyi dla pp. Marjawitek na budowę kościoła w Częstochowie rs. 1, który wraz z innemi ofiarami przesłany będzie na cel wskazany.

Życzący sobie otrzymać pożyczki z kassy Rzemieślniczéj zgłaszać się mogą do Redakcyi Czytelni w każde święto i niedzielę od godziny 10 do 12 rano, a w każdy Czwartek od 5 do 9 po południu. Dnie świąteczne dlatego wyznaczono, aby ludności rzemieślniczéj czasu roboczego nie zabierać.

— Kompletnych egzemplarzy Czytelni, tylko za lata: 1856, 1858 i 1859 po cenie rs. 2 za egzemplarz z przesyłką, nabyć można w Redakcyi Czytelni nr. 1527, ulica Chmielna.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90— kwartalnie k. 45— miesięcznie k. 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie.
Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 25 wrześ. (7 paź.) 1860 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański.*